

Jatka na śniadanie

27 grudnia 2014

Słońce wstawało niespiesznie, promienie macały z boku. Marcino szedł i chłonał wszystko, co działo się wokół.

A krew bluzgała coraz bardziej. I adrenalina z krwią zmieszana w najlepszych możliwych proporcjach buzowała w żyłach, a tętnice już dawno przeszły na drgania, których nie wytrzymałby najlepszy most budowany na mistrzostwa świata w przetaczaniu wagonów z cementem.

Szedł teraz szeroką drogą szutrową, wokół piękne łąki usłane trupami tych, którzy zlekceważyli znaki na poboczu „wchodzisz na własną odpowiedzialność”. Marcino wiedział, że pod kępami bujnych kolorowych, rajskich kwiatów kryją się miny przeciwpiechotne. Widział już siedmiu chłopaków wylatujących w powietrze, a najlepszy był ten grubasek, który chwilowo zamienił się w czerwoną fontannę wielokierunkową, składającą się zresztą z czterech części zasilanych niezależnie.

Ten młody nierozgarnięty, co potem szukał ręki i stracił dwie nogi też był śmieszny, myślał Marcino, gdy zbliżył się do czerwonej kupy materii organicznej, która okazała się być tym razem kobietą, podziurawioną amunicją małokalibrową z niewielkiej odległości.

Krew buzowała w głowie Marcina, a był już na siedemnastym piętrze wieżowca ociekającego krwią, z którego co jakiś czas spadały szczątki ludzkie. W tej chwili wylatywała okrwawiona ręka trzymająca w kurczowych drgawkach shotguna z jakimś nieruchawym palcem, który utkwiał w lufie i sikał krwią jak w dyngusa.

– Nic straconego, zobacz teraz! – krzyknął blondyn w kamuflażu pozwalającym schować mu się za wannę stojącą w łazience wyłożonej różowymi kafelkami. Różowo-biała panterka nie była zresztą do niczego potrzebna, bo facet był cały poplamiony

krwią. I ten facet we krwi przetarł sobie okulary spawalnicze i krzyknął:

– Patrz teraz! Power Krzysio ja!

Power Krzysio stanął i zaczął pruć na oślep przed siebie przez zgliszcza byłego apartamentu prezydenckiego i skosił jedną babcię, która akurat kupowała od jednoręko-jednookiego typka w sklepie ogrodniczym zestaw do samobójczego ataku bombowego obliczonego na sławę wieczną. Babcia miała na głowie hełm kevlarowo-tytanowy, ale to jej nic nie dało, bo pociski z broni Power Krzysia składały się z tysiąca sztuk kulek każdy i hełm babci wyglądał jak sitko maszynki do mięsa, a mózg jak samo mięso. Na babci się nie skończyło, bo magazynek był podwójnego ciągu i dostał się jeszcze dwóm osiłkom z ochrony człowieka wyglądającego na biznesmena oraz samemu biznesmenowi (ten skończył w sposób najbardziej spektakularny, mianowicie wylało mu oko, a przez oczodół wyleciał fragment przysadki mózgowej z kartką typu post-it, na której napisane było „kochanie, kup wino do krwistego steku”).

Biznesmen zresztą nie był dłużny i padając, zanim jego mózg podziękował za współpracę, odpalił jeszcze fajkę pokoju.

Fajka pokoju to dziadostwo większe niż polityka. Gdy dosięga człowieka, to ten kurczy się w sekundę, odsłaniając cały układ krążenia w całej swojej okazałości, który zanim zaczną działać prawa grawitacji, lewituje w powietrzu, mimo, że reszty ciała już nie ma. I tak właśnie zginął komandos, który zakradał się z tyłu do Power Krzysia, by przeciąć mu wzdłuż kręgosłup i wysłupać miąższ. A zginął dlatego, że biznesmen nie trafił w Power Krzysia.

Tętnica główna komandosa zdążyła krzyknąć – Skradałam się, by wysłupać ci miąższ z kręgosłupa! – po czym spadła jako pierwsza z tętnic na niesforną kupę zwojów, które uprzednio tworzyły układ żylny.

Power Krzysio triumfował i dla przypieczętowania swojej

dominacji w wieżowcu skosił jeszcze wycieczkę dzieci. Tym razem zastosował większy kaliber pocisków, które wyrwały z ciała kręgi o promieniu kilku centymetrów. Te pulsujące obiekty organiczne latały teraz po całym zoo, bo dzieci akurat oglądały słoń. Jeden krążek pacnął Marcina w pierś i po raz pierwszy od przebudzenia się, poczuł się nieswojo. Krążek drgał i drgał i nie chciał się odlepić, a poza tym drgania układały się w sposób charakterystyczny dla strun głosowych.

Czyżby coś do powiedzenia? Nie przyszedłem tutaj się rozczulać, tylko oglądać, myślał Marcino, z odrazą ściągając krążek z trzustki tej dziewczynki w zielonej bluzce. Dziewczynka w aktualnie zielono-czerwonej bluzce, czy raczej w tym, co z niej zostało, zauważyła Marcina i zaczęła do niego biec odebrać co swoje, ale przez dziurę w jej części brzusznej dało się zauważyć, jak Power Krzysio przeładowuje broń i ponownie strzela w jej kierunku.

Gdy mała padła, a drugi krążek, tym razem z jej głowy, wylądował na czole Marcina, zdenerwował się słoń, który lubił, gdy oglądają go małe dzieci, bo miał ciągoty pedofilskie. Słoń wypalił z trąby w Krzysia i nie była to woda, ale napalm.

Krzysio palił się długo i bez bryzgów, więc Marcin mógł trochę odetchnąć. Krew prawie rozrywała mu żyły na przedramionach, które miał odsłonięte, więc widział, a o pachwinach wolał nie myśleć. Dopiero teraz zauważył, że ma koszulkę całą we krwi. A koszulka była fajna, na koncerty rockowe przeznaczona, z tekstem „Peace&drugs&could you give me some water, please?”

Co powie mama? – przeraził się Marcinek, zanim rozpętała się jatka na dobre. Spowodowali ją przebrani za pluszowe niedźwiadki złoczyńcy z domu spokojnej młodości, uzbrojeni w siedmiokrotnie sprzężone karabiny automatyczne bez celowników, bo zasięg i rozrzut były tak wielkie, że zabijały wszystko, co się rusza w promieniu 203 metrów.

Słoń oberwał najbardziej, ale zanim rozleciał się na czerwone

kawałeczki mięsa, niesłusznie nienazwanego słoniną (łącznie sztuk 13 609), to jeszcze pozbył się reszty napalmu ze zbiornika na ślinę. Trzeba przyznać, że plusz palił się widowiskowo, a amunicja strzelająca w magazynkach rozrywała ciała w sposób, którego nie powstydziliby się sam Taran Rodrino. Wybieg dla lwów, który okazał się być zatłoczonym basenem miejskim, zaczął wypełniać się czerwoną cieczą, czy raczej mazią, a ponieważ do walki włączyli się również beznodzy komandosi i pan udający Bruca Leelissa, więc w powietrzu latały pociski (w jedną stronę), kawałki mięsa (w inną stronę) oraz ulotki sklepu ze sprzętem rehabilitacyjnym (w jeszcze inną stronę).

Gdy zbiornik zaczął wypełniać się szczelnie trupami całymi, trupami na raty i innymi szczątkami, a czerwona maź oblepiła wszystkich (raczej nieżyjących) w zasięgu wzroku, Marcinek nie wytrzymał. Z napisu na koszuli nie pochłapane krwią było tylko słowo „please” i ten spragniony adrenaliny znudzony życiem właściciel właśnie pękającej tętnicy lewego przedramienia krzyknął w dal znaczoną torami pocisków świetlnych:

– Ja chcę do mamy! Ja chcę! Ja chcę! Ja już nie chcę krwi! Ja się boję!

– Już synku, mamusia już idzie do ciebie, dam ci śniadanko – odpowiedziała kobieta z właśnie mającą wybuchnąć bombą głębinową w miejscu głowy. Wysypała na talerz trochę chrupek i zalała je czułą stróżką krwi z pozostałości przedramienia.

Autorstwo: Piotr Kowalczyk

Źródło: [Password Incorrect](#)

Licencja: [CC BY-NC-ND 2.5](#)